Cena numeru 10 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 15 lutego 1947 Nr. 8 (28

JÓZEF CYRANKIEWICZ OTRZYMAŁ MISJĘ UTWORZENIA RZĄDU



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

Blok mi powierzył honor Polaków!

* * *

Na całym świecie panują tęgie mrozy. W Anglii trzy miliony robotników ma stracić pracę na skutek braku materiałów opałowych. Giełda nowojorska nie notowała takiej obniżki temperatury od wielu lat. A u nas? U nas dyskutuje się szeroko na temat płynów rozgrzewających.

Już wybraliśmy posłów, czekamy na małą konstytucję, już premier Cyrankiewicz wygłosił swe exposé, już ministrowie rozpoczęli swe normalne urzędowanie a polemika wciąż trwa.

Rozpoczęła ją utalentowana poetka obozu katolickiego Anna Świrszczyńska artykułem w „Odrodzeniu", na który zareplikował Artur Marian Świnarski wierszem poświeconym wystawieniu „Orfeusza i Eurydyki". Potem w „Przekroju" znokautował alkoholizm Konstanty Ildefons Gałczyński. Znany bojowiec abstynencji zaatakował zagadnienie fangę:

„Tak, tak kochanie, bez wysiłku
jeszcze nie wzeszło żadne dzieło,
więc bacz, ażeby cię po tyłku
delirium tremens nie stuknęło"

O czyje tyłki chodziło, poeta wyraźnie palcem nie wskazuje. Ale czytelnik domyśla się, że nie zwolenników wody studziennej.

Fanga ta jeszcze nie trafiła w sam żołądek zagadnienia. W numerze 4 „Kuźnicy" znowu podjął ten temat Jan Szczepański. Zaproponował, aby zabroniono sprzedawać alkohol w dnie wypłat. Czy w związku z ustanowieniem terminów wolnej sprzedaży alkoholu należy ustanowić stałe terminy wypłat, o tym publicysta nie mówi. Wylicza szkody w maszynach i urządzeniach, spowodowane pijaństwem, wzywa do policzenia mebli w zdemolowanych mieszkaniach i lokalach, ubolewa nad wydatkami związanymi z leczeniem osób poranionych w bójkach i zarażonych cierpieniami spowodowanymi pośrednio, lub bezpośrednio konsumcją przetworów PMS-wego, nie wylicza jednym tchem potłuczonych kieliszków, naczyń, dziur wypalonych w garderobie ściennej, osobistej, w bieliźnie stołowej i pościelowej, otworów wyleżanych przez podchmielone ciała w śniegu zalegającym ulice miast na wysokości otworów w nosie, wygniataniem trawników przez osoby ddające się bezdomności włóczęgostwu i reszcie siedmiu grzechów głównych.

W ostatnim numerze „Odrodzenia" znowu zabrała głos szlachetna poetka. Wytknęła tanim dowcipnisiom łatwe żarty na temat alkoholu, razem z kilku głosami czytelników „Odrodzenia" domaga się ostrej walki z alkoholem, a nawet stworzenia specjalnej izby zatrzymań, skąd osobnicy przyłapani na gorącym uczynku nadużywania wódki nie w celach domowo-leczniczych mieliby być kierowani do pracy przy sprzątaniu ruin, śniegu, w razie, gdy w mieście nie ma ruin.

Co do nas należy, a co z obowiązku dziennikarskiego musimy podkreślić po któryż raz z rzędu, uważamy, że użycie produktów monopolowych do celów innych niż wcieranie, zawsze było i będzie nadużyciem, nie uważamy jednak aby wcieranie alkoholu musiało się odbywać wyłącznie na salach operacyjnych. Wiemy także, że walka jaką wydał rząd Stanów Zjednoczonych popieranej przez Al Capone prohibicji, została zakończona zniesieniem tejże. Pamiętamy również, iż szlachetnej walce krakowskich abstynentów patronował swego czasu w „Elausis" Wincenty Lutosławski, którego ojciec miał browar i łatwa walka tego myśliciela nie skończyła się wcale śmiałym atakiem na przeciwny etyce chrześcijańskiej wyzysk, świadome utrzymywanie społeczeństwa w ciemnocie i przeciwne ideałom świata pozazmysłowe gromadzenie dóbr w kilku rękach. I tego Anna Świrszczyńska też wcale nie podkreśla czerwonym atramentem.

Bardzo wskazane jednak jest mieć w pamięci cytowany w tym samym artykule głos działacza chłopskiego Józefa Bleńka z Librantowej: „Zresztą były wypadki, że urzędników kontroli skarbowej, czy gorliwszych milicjantów, zwalczających bimbrownictwo, łapano, wymierzano im karę chłosty, zmuszano do picia gnojówki".

Inicjatorka tej wielkiej alkoholicznej dyskusji, która niebawem przesłoni inne bolączki naszego życia, jako katoliczka postępowa, skieruje niewątpliwie swe ostre pióro pod adresem tych mącicieli narodowej kadzi. Aby żartownisie zapisali sobie w sztambuchu: My sobie tak z bimbru żartujemy a im gadułom chodzi o życie.

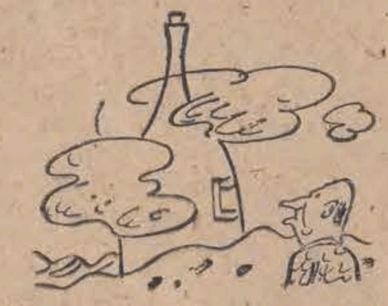
KAZIMIERZ GRUS

List z Zakopanego

Najdroższa!



1. Ozonu! O jakże potrzebowałem go po mych wyczerpujących wysiłkach!



2. Co noc śnił mi się Giewont, ten gigant tykający niebo, pełen mrożonej wilgoci.



3. Jak ta ptaszyna z klatki frunąłem na nartach w kierunku Hali Gąsienicowej!



4. W nabożnym skupieniu podziwiałem wzruszony smukłe smreczki i soczyste limby, ubrane w szaty zimowe.



5. Znowu rozsmakowałem się w oscypkach, a spuszczając się z śnieżnych wyżyn, myślę o Tobie.



6. Niezmordowany ślizgam się codzień pod okiem doświadczonego trenera.



7. Zachwalana góralska żętyca nie trafiła mi jakoś do gustu po pierwszej próbie doznałem nawet rżnięcia



8. Z niebywałą siłą występują tu często wiatry halne. Dużo jest stąd ofiar na skutek zawiania.



9. Na prześcieradle śniegu kwitnie życie sportowe, a zew krwi pobudza do stawiania rekordów



10. Nie masz pojęcia, ile radości dają te kolejki linowe. Odrywam się w nich od ziemi i w linii powietrznej łączę się z Tobą.

Twój Grus

HENRYK HEINE

WARUNEK

A kiedy na koniec skojarzy nas ślub,
świat cały ci pozazdrości:
rozperli się życie u drobnych twych stóp
fontanną uciech, radości

Przebaczę ci wszystko: i zdradę i kłam,
dam pełną ruchów swobodę —
lecz gdy nie pochwalisz mych wierszy, madame,
to wnet się z tobą rozwiodę

Tłumaczył HENRYK SAWA

KAROL KOWALSKI

MIŁOŚĆ I KOMIS

Pan Serwacy Kopytkiewicz był zamożnym człowiekiem. Miał piękne urządzone dwupokojowe niezagęszczone mieszkanie w śródmieściu, oraz sporo twardych, miękkich i najmiększych, czyli złotówek.

Przyjaciele mówili o nim:

— Temu brakuje tylko ptasiego mleka!

Ale mylili się. Serwacemu brakowało nie ptasiego mleka, lecz — miłości. Marzył o tym, aby pokochać piękną, czystą dziewoję i pojąć ją za małżonkę cywilnie i autentycznie!

Pewnego dnia, przechodząc koło sklepu komisowego, zatrzymał się nagle, jak piorunem rażony. Oto za szybą sklepu komisowego ujrzał cud panienkę! Co tu dużo gadać! Miała przepisowo oczy jak brylanty, ząbki, jak perełki, usta, jak pęknięty owoc granatu, a włosy, jak tak zwane kosy. Jednym słowem — unikat.

Serwacy zakochał się z miejsca. Bez namysłu wszedł do sklepu.

— Dzień dobry — powiedział nieśmiało.

— Dzień dobry panu — odpowiedziało dziewczę.

— Na wystawie jest piękne elektryczne żelazko do prasowania — rzekł Serwacy Kopytkiewicz drżącym głosem — chciałbym je nabyć...

— Proszę bardzo! Kosztuje tysiąc dwieście złotych — wyjaśniło uprzejmie dziewczę.

— Ach, to drobiazg. Proszę bardzo! — powiedział klient, pożerając ekspedientkę oczami. — Oto tysiąc dwieście!

Cała tranzakcja trwała pięć minut, ale wyryła się w sercu Serwacego niezatartym śladem. Po powrocie do domu przez trzy godziny siedział i dumał.

— Muszę tam pójść jutro! — postanowił. — Ta, albo żadna!

Poszedł tam jutro.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry panu — odparła urocza ekspedientka. — Czym mogę służyć?

— Chciałbym nabyć coś tego... praktycznego!

— Proszę bardzo! Co by tu panu zaproponować?... Sklep został niedawno otwarty. Mamy jeszcze nie wiele objektów... — powiedziała panienka z wahaniem. — Może pan nabędzie ten starożytny szal koronkowy?

— Hm, na co mi się przyda szal?

— Więc może żelazko elektryczne?...

— Doskonale! Właśnie marzyłem o żelazku elektrycznym!

— Tysiąc dwieście — rzekła panienka i zapakowała żelazko.

Serwacy przyszedł nazajutrz.

— Dzień dobry pani!

— Dzień dobry! Czy przyszedł pan może po szal?

— Nie, szala nie kupię... Może jest coś innego? — spytał zakochany klient, patrząc głodnym wzrokiem na panienkę.

— Jest jeszcze żelazko elektryczne — odparła z ociąganiem — ale pan już wziął jedno wczoraj...

— Cóż to szkodzi?! Akurat ciotka prosiła mnie o żelazko! Wezmę z rozkoszą! Co kosztuje?

— Tysiąc dwieście...

— Proszę, oto pieniążki!

Serwacy przyszedł na drugi dzień.

— Dzień dobry pani!

— Dzień dobry! Nic innego nie mamy, tylko jeszcze jedno żelazko... A może pan wziąłby dwa?... Policzkę po tysiąc sto pięćdziesiąt...

— Bardzo chętnie! Właśnie stryjenka i jedna siostrzenica prosiły mnie usilnie, abym nabył żelazka elektryczne, bo nie mają zupełnie czym prasować!... Tylko jedno pytanie...

— Słucham?

— Skąd pani ma w sklepie tyle żelazek?

— Uważa pan, cioteczny brat właściciela, który prowadził sklep elektrotechniczny, zbankrutował i wstawił do szafa dwadzieścia żelazek elektrycznych...

— Aha, rozumiem! Więc na razie proszę o dwa!

Jeszcze przez dwa tygodnie Serwacy Kopytkiewicz odwiedzał sklep komisowy. Codziennie kupował jedno żelazko. Twierdził, że chce zelektryfikować rodzinę. Panienka uśmiechała się przyjemnie i była bardzo zadowolona.

Po dwóch tygodniach, gdy wszedł do sklepu i po zwykłym „dzień dobry" poprosił o żelazko, ekspedientka odparła, rumieniąc się z lekka:

— Pan wybaczy, ale mamy już tylko jedno...

— To właśnie jest mi potrzebne! Babcia Agata też pragnie mieć elektryczne żelazko! O, pani jej nie zna — to nowoczesna kobieta, chociaż po siedemdziesiątce!

— Być może — odparła ekspedientka — ale tego nie mogę sprzedać... Zarezerwowane dla jednego małżeństwa...

— Doprawdy? A któż to się żeni? — spytał jowialnie pan Serwacy.

— Ja! — odparła szczerze panienka, czerwieniejąc jeszcze bardziej. — Mój ślub jutro...

Pan Kopytkiewicz pobladł.

— Pani?!

— Tak... Cóż w tym osobliwego?

— Eh, nic... Ale czy pani pozwoli, że prześlę pani mały upominek ślubny?

— Ale skąd że! Przecież prawie się nie znamy!

— Jakto?! Stały klient jestem! Poproszę uprzejmie o adres!

Panienka podała adres. Pan Serwacy zapisał.

Nazajutrz, w dniu ślubu, do mieszkania pięknej ekspedientki zadzwonił posłaniec.

— Przyniosłem dla paniusi paczkę — powiedział — cholernie ciężka! Diabli wiedzą, co tam jest! Chyba, że cegły!

Młoda mężatka rozpakowała paczkę gorączkowo.

— Antosiu! — zawołała po chwili. — Chodź tu, Antosiu!

Do pokoju wszedł przystojny pan młody.

— Słucham cię, duszko?

— Patrz, jaki oryginalny podarek otrzymaliśmy! Dziewiętnaście elektrycznych żelazek do prasowania!

— A widzisz! — zawołał małżonek z wyrzutem. — Mówiłem ci że nie należy się śpieszyć z kupnem żelazka! A ty niepotrzebnie kupiłaś żelazko w twoim sklepie!

Panna młoda posmutniała.

— Tak — rzekła — teraz, to i ja żałuję, że nie sprzedałam tego dwudziestego żelazka! Człowiek całe życie się uczy, mój Antosiu!



Róbmy Rząd



Rys. Henryk Tomaszewski

Chodźmy stąd



Rys. Kazimierz Grus

Napisał JAN RZEWNY

Ilustrowała REGINA KAŃSKA

DOWIDZENIA

W dniu, gdy otrzymałem nareszcie wytworny pokój — dwa kroki naprzód i pół kroku w bok z piękną perspektywą wspólnej ubikacji nie mam ani jednego dnia spokojnego.



Sprowadziłem się i rzekłem do siebie — oto zacznę pracować. Przygotowałem plik białego papieru, zakasałem rękawy, zdążyłem zaledwie napisać pierwszą zwrotkę poematu, gdy usłyszałem donośne pukanie na korytarzu. Przyjaciele — pomyślałem dumnie — i tu mnie znaleźli. Ktoś zapukał w drzwi. Powiedziałem — proszę. Wszedł człowiek ubrany w granatowy płaszcz, w ręku trzymał ogromną teczkę. Gość zapytał donośnie: czy tu mieszkanie 25? Odpowiedziałem: i owszem. Czy tu mieszka Jan Rzewny? Odpowiedziałem: a jakże.

— Pan pozwoli łaskawie, że się przedstawię — Jan Rzewny to właśnie — ja.

— Jestem z Elektrowni — po chwili powiedział przybyły — Musimy zbadać stan waszego licznika.

Ogromnie się ucieszyłem.

— Bardzo mi miło, że państwo się dowiedzieli o mnie Proszę bardzo.

Przybyły otworzył licznik, potem go zamknął. Wykręcił korki, znowu zakręcił. Potem powiedział do mnie:

— U pana coś nie w porządku.

— U mnie — powiedziałem — nic, na wszystkie guziki — i nieśmiało przestąpiłem z nogi na nogę.

— Nie u pana, a w liczniku.

— A tak...

Pan otworzył teczkę, wyjął kwitariusz napisał coś i podał mi z niedbałym gestem: za wizytę

Ogomnie się ucieszyłem. Powiedziałem:

— Bardzo mi miło, że pan u mnie wszystko sprawdził.

Wręczyłem pieniądze i powiedziałem: dowidzenia: Dowidzenia — powiedziałem i to był mój pech

Nazajutrz znowu ułożyłem plik białego papieru, zakasałem rękawy i przejrzałem zwrotkę którą napisałem wczoraj, gdy nagle słyszę donośne tupanie na korytarzu, potem ktoś puka w moje drzwi. Ucieszyłem się. Napewno przyjaciel. Krzyczę:

— Proszę wleźć!

Wchodzi jegomość w granatowym płaszczu z ogromną teczką.

— Czy tu mieszka Jan Rzewny?

— A jakże — odpowiedziałem

— Czym mogę służyć?

— Z elektrowni jestem — powiada — przyszedłem sprawdzić stan pańskiej sieci elektrycznej.

— Przepraszam — czego?

— Sieci. To znaczy jak wygląda kabel w waszym mieszkaniu.

Powiedziałem:

— Zamurowany w ścianie.

— Tym gorzej, trzeba będzie ścianę rozwalić.

Dobra historia — pomyślałem.

— No, cóż, sprawuj pan swoje funkcje urzędowe.

Urzędnik obszedł pokój, podszedł do licznika, otworzył go, potem zamknął, znów go otworzył. Wykręcił korki, zakręcił, potem otworzył teczkę, napisał kwit i powiedział:

— Za wizytę.

— Bardzo — powiedziałem — jestem szczęśliwy, ale doprawdy nie jestem chory — i znowu powiedziałem — dowidzenia.

Nazajutrz znowu przygotowałem plik papieru, zakasałem rękawy i melancholijnie popatrzyłem na zwrotkę, którą napisałem przedwczoraj. Znowu ktoś podszedł do moich drzwi. Wtedy zerwałem się z krzesła i krzyknąłem nie patrząc na wchodzącego.

— Jan Rzewny, to ja jestem, licznik z prawej strony. Kable wmurowane w ścianę. Ostatnia żarówka jszcze działa.

Człowiek w granatowym płaszczu wszedł do pokoju, opukał ściany, obejrzał licznik, wykręcił korki, napisał kwit, wręczył mi z obojętną miną:

— Za wizytę.

Powiedziałem:

— Bardzo to ładnie z waszej strony, że [illegible] troszczycie się o stan mojego [illegible] światła; ale pan który?

Przybyły wymamrotał niezrozumiale: um, um, um, um...

— A ilu pozostało?

— U. U. U.

I znowu powiedziałem fatalne: dowidzenia.

Na następny dzień nie przygotowywałem papieru, nie popatrzyłem na zwrotkę, ale położyłem na stół zegarek.

Jeśli przyjdzie skoczę na żyrandol.

Punktualnie o wyznaczonej porze przychodzi jegomość w granatowym płaszczu. Krzyknąłem z żyrandola:

— Proszę wpłynąć elektrycznym prądem. Zaświeć pan licznik i odkoruj kabel.

Urzędnik powolnym ruchem obszedł pokój, otworzył licznik, zamknął licznik, wykręcił korki, zamknął korki, otworzył teczkę. napisał kwit.

Swiatło, przyjaciel, licznik — wszystko poplątało mi się w głowie.

Nazajutrz uciekłem z domu. Wróciłem o północy. Na drzwiach zobaczyłem kartkę. On, pomyślałem, przyjaciel. Otworzyłem:

„Ponieważ wzwyż wymienione mieszkanie zostało zamknięte, będę jutro w południe. Kontroler."



Skoczyłem na żyrandol. Potem wyjąłem nóż, przeciąłem sznury elektryczne i zdecydowałem się: trzeba kupić lampę naftową i taniej i przyjemniej i wtedy naresz cie będę mógł pracować.

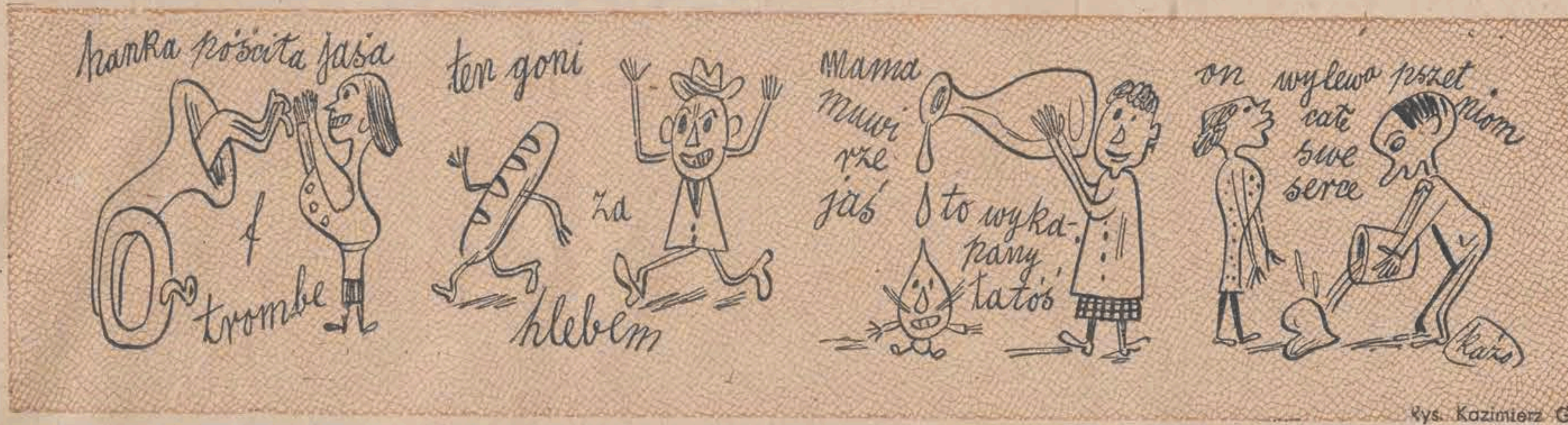
A teraz nie wiem: może to był doprawdy przyjaciel.

LUDNOŚĆ AFRYKI POŁUDNIOWEJ, TERRORYZOWANA PRZEZ GUB. SMUTS'A, CIESZY SIĘ Z PRZYYJAZDU KRÓLA JERZEGO VI



Rys. Regina Kańska

Precz, precz Smuts'ek wszelki!



Rys. Kazimierz Grus

Napisał JAN HUSZCZA

DZIWNA MGŁA

Ilustrował KAZIMIERZ GRUS

Ponieważ do późnej nocy dyskutowaliśmy na temat „subwencje czy subsydia“, przeto nazajutrz zbudziłem się dopiero o dziesiątej. Czując niesmak w ustach po wczorajszym, z przerażeniem spojrzałem na zegarek, szybko się ubrałem, włożyłem na nos okulary (w przeciwieństwie do żony jestem krótkowidzem), pożegnałem rodzinę i z teczką pod pachą pobiegłem do kawiarni, gdzie miałem się spotkać z całym szeregiem przyjaciół i znajomych.

Jeszcze w domu zauważyłem, iż powietrze przybrało, jakąś dziwną barwę, przerażające kształty. Na ulicy to samo: niby było sucho a jednak — wszystko dwojąc i trojąc — aż oczy kłuła dokuczliwa mgła.

W tej męczącej mgle nie mogłem się doczekać tramwaju. Wreszcie rozległo się charakterystyczne gęganie i tuż obok mnie zazgrzytały



hamulce. — Tramwaj?... Skądże! Podjechał jakiś wóz drabiniasty. Zwróciłem się do przypadkowego otoczenia:

— Co, u licha! Dużo w życiu widziałem, ale taki kant widzę po raz pierwszy... żeby zamiast tramwaju podjeżdżał wóz drabiniasty?

Otoczenie zaniosło się śmiechem:

— Obywatel z księżyca spadł czy jak? Gdzież tu wóz drabiniasty? Wskakujcie, to przecież jedenastka...

Dotknąłem rękoma: hm... a jednak tramwaj...

W kawiarni usiadłem naprzeciw ko psa. Lubię psy:

— Wyjątkowo sympatyczny buldog! — życzliwie poklepałem psa po pysku.

Ale buldog miał ludzki mięsisty nos i ludzkim odezwał się głosem.

— A to co za kawały!...

Cofnąłem rękę, przepraszając pana, którego we mgle przyjąłem za buldoga.

— Mgła jakaś psiakrew! — pokornie się tłumaczyłem.

Domniemany buldog jeszcze gniewnie fukał i prychał, gdy zauważyłem swego przełożonego.

— Moje uszanowanie panu dyrektorowi! — przymilnie zaśpiewałem, wyciągając prawicę. Niestety, zamiast pulchnej owłosionej ręki dyrektora poczułem hak od wieszaka...

— Ki diabeł... — przeraziłem się, dokoła zaś syczał już chichotliwy szept:

— A to się urżnął gość! Z wieszakiem wita się...

Wstąpił we mnie strach. Byłem bezradny i osamotniony, mgła zaś napiera, łzawi oczy. Całe szczęście, że w drzwiach stanął niewidziany oddawna Klemens. Żwawo ruszyłem naprzód by paść w objęcia i ucałować się z automatu (z dubeltówki — to już anachronizm!).

— Klemensie, kopę lat!

Ale Klemens — czyżby kto posiał między nami intrygę? — odezwał się złym, damskim mezzosopranem:

— Co też pan wyprawia! Jestem porządna kobieta... Gdybyż przynajmniej nie na oczach wszystkich gości...

— To pani nie jest Klemensem? — zapytałem, później dopiero zdając sobie sprawę z nielogiczności sformułowania.

— Jeśli pan natychmiast nie opuści lokalu — ozwał się męski basowy tym razem głos — to ja fizycznie odpowiem na obrazę mojej żony!

— Wal go, Funio! Albo to wariat albo zgrywę robi! — poparł mezzosopran.

Sytuacja zapowiadała się wcale interesująco, ale ponieważ to ja sam miałem być jej ośrodkiem, przeto postanowiłem nie czekać na dalszy rozwój wypadków.

— Przeklęta mgła! — i szybko wyskoczyłem na ulicę, niczego nie załatwiwszy. Pobiegłem do domu, bo już zupełnie straciłem poczucie rzeczywistości i zaufania do własnych oczu.

W domu żona przyjęła opryskliwie:

— Nie, doprawdy... bądźże ty jednak cokolwiek uważniejszy!

— A co się stało?

— To się stało że okulary zamieniłeś! Wziąłeś moje, mnie zo-



stawiłeś swoje... Przecież, krótkowzroczny idioto, jeśli nie wzrokiem to przynajmniej dotykiem powinieneś odróżniać soczewki wklęsłe od wypukłych, czyli zbierających...

— Więc to nie była mgła! — rozdziawiłem usta ze zdziwienia...

Długo łupało mnie w głowie z powodu użycia niewłaściwych szkieł, a jeszcze dłużej musiałem udowadniać znajomkom, którzy obserwowali mnie w kawiarni, że wcale nie byłem pijany.

Niektórzy z nich nie wierzą mi po dziś dzień.

— W pestkę zalany byłeś — twierdzą uporczywie — dlatego też nie chcieliśmy nawet do ciebie podchodzić!...

W związku z tym krzywdzącym twierdzeniem nasuwa mi się ni to wskazówka ni to apel: jeśli ktoś zatacza się a ma na nosie okulary, jeśli nawet woła na taksówkę w urzędzie pocztowym — to nie odprowadzajcie go zbyt pochopnie do komisariatu, tylko zwróćcie mu życzliwie uwagę, czy przypadkiem nie zamienił okularów...

JAN CZARNY

FRASZKI

SPORTSMAN

Do „dwóch zer" wchodząc, nim drzwi otworzy
pyta z nawyku: — Na czyją korzyść?... —

ZERWANIE

Posłał paczkę szminek i niniejsze słowa:
— Zwracam Ci uczciwie to, com z warg zcałował..

WYMÓWKA

Biustonosz gdy się zmęczy — tym się zwykle zżyma,
że wprawdzie mu przyjemnie — lecz iść musi... do prania...

CHUDY LITERAT

Mówią „chudy literat". Nie taki znów chudy:
— Spójrzcie, ile weń może, wejść kieliszków wódy...

KULA U NOGI

Gdy nie sprzyjają bogi,
głowa jest kulą u nogi...

NA NASZYJNIK Z PEREŁ

Choć w oceanu głębinach
skarbem były niczyim,
dziś nisko upadły na
uwiędłej wiszą szyi...

ANTONI CZECHOW

Ilustrował ZENON WASILEWSKI

CÓRKA ALBIONU

Przed domem obywatela ziemskiego Griabowa zatrzymał się piękny powóz na gumach z grubym stangretem i aksamitnym obiciem na siedzeniu. Z powozu wyskoczył przewodnic. icy szlachty powiatowej Teodor Andrzejewicz Otc... W przedpokoju spotkał go senny lokaj.

—Pan w domu? — zapytał przewodniczący.

— Nie, pana nie ma. Pani z dziećmi pojechała z wizytą, a pan z mamzel guwernantką łowi ryby od rana.

Otcow powstał, pomyślał i poszedł w stronę rzeki w poszukiwaniu Griabowa. Znalazł go nad rzeką w odległości dwóch wiorst od domu. Spojrzawszy w dół z wysokiego brzegu i zobaczywszy Griabowa, Otcow parsknął śmiechem... Gr...w, wysoki, gruby mężczyzna z wielką głową, podwinąwszy po turecku nogi, siedział na piaseczku i łowił ryby. Kapelusz miał na tyle głowy, krawat zsunął mu się na bok. Obok stał... wysoka, chuda Angielka z wypukłymi jak u raka ocza...i i dużym ptasim nosem, podobniejszym do haczyka niż do nosa. Miała na sobie białą muślinową suknię, przez którą przeświecały wyraźnie jej chude, żółte ramiona. Na złotym pasku wisiał złoty zegarek. Angielka też łowiła ryby. Dokoła panowała grobowa cisza. Oboje byli nieruchomi jak rzeka, po której pływały ich spławiki.

— Bez pracy nie ma kołaczy! — roześmiał się Otcow — Dzień dobry, Iwanie Kuzmiczu!

— A... to ty? — zapytał Griabow nie odwracając oczu od wody — Przyjechałeś?

— Jak widzisz... A ty wciąż zajmujesz się swym bzdurstwem? Nie odzwyczaiłeś się jeszcze?

— A do diabła... Łowię cały dzień od rana. Coś źle się dzisiaj łapie. Nic nie złowiłem ani ja, ani to pudło. Siedzimy, siedzimy i żeby choć coś! Wprost wyć się chce ze złości!

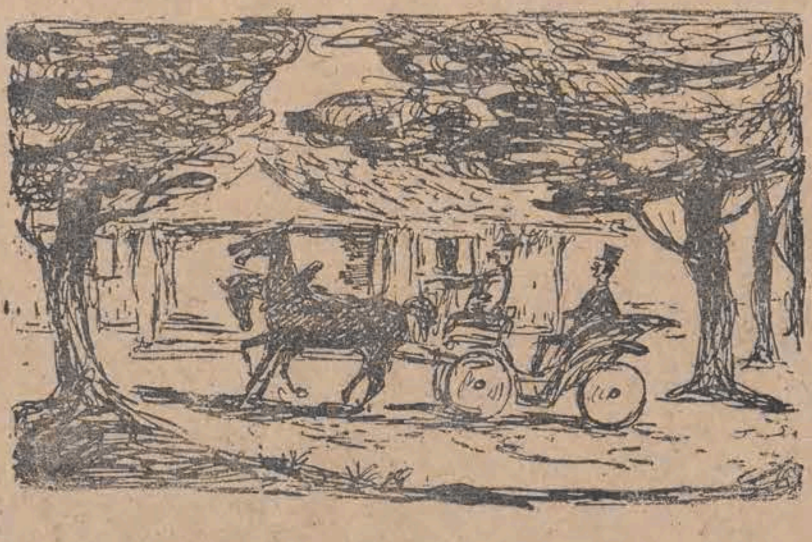
— Pluń na to. Chodźmy na wódkę!

— Poczekaj... Może jednak jeszcze coś złapiemy. Pod wieczór ryba chwyta lepiej... Siedzę, bratku, tu od samego rana! Nudy takie, że coś strasznego! Diabeł mnie skusił, żem nabrał tego przyzwycz...nia. Wiem, że to bzdura i siedzę! Siedzę jak jakiś wariat, galernik i patrzę na wodę jak dureń. Trzeba pojechać na kośbę, a ja ryby łowię. Wczoraj w Chaponiewie biskup odprawiał nabożeństwo i nie pojechałem, r...siedzia...m tutaj z tym łososiem... z tym czortem...

— Coś ty zwa...ował? — spytał Otcow, spoglądając zawstydzony na Angiel...ę. — Wymyślasz przy da...ie i nawet na nią...

— A niech ją diabli! I tak nic nie rozumie. Czy ją ch...walić, czy na nią wymyślać — wszystko jedno! Spójrz na nią. Już ten nos wystarczy, by zemdleć! Po całych dniach siedzimy razem i żeby choć słówko! Stoi jak strach na wróble i oczy na wodę bałuszy.

Angielka ziewnęła, zmieniła robaczka i zarzuciła wędkę.



— Dziwię się, bratku, niemało! — ciągnął Griabow — Mieszka, durna, dziesięć lat w Rosji i żeby choć jedno słówko rosyjskie!... Pierwszy lepszy nasz arystokrata pojedzie tam do nich i w mig nauczy się ich szwargotu, a oni czort wie co! Ale ty popatrz na nos! Na nos popatrz!

— Ależ przestań... Nieładnie... Coś się przyczepił do kobiety?

— To nie kobieta, to panna... O narzeczonych pewno myśli, pudło takie. I czuć od niej czymś zgniłym... Och, znienawidziłem ją, bratku! Widzieć nie mogę obojętnie! Gdy spojrzy na mnie tymi ślepiami, kręci mnie całego, jakbym się łokciem uderzył o poręcz. Tak samo lubi łowić ryby. Popatrz: z jakim to robi namaszczeniem! I z pogardą patrzy na wszystko... Stoi, kanalia, i ma świadomość, że jest człowiekiem a więc królem stworzenia. A wiesz jak się nazywa? Uilka Czarlsowna Tłajs! Tfu... zęby połamiesz!

Usłyszawszy swe nazwisko Anielka powoli zwróciła nos w stronę Griabowa i zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem. Z Griabowa przeniosła wzrok na Otcowa i jego też oblała pogardą. I to wszystko w milczeniu, z powagą i powoli.

— Widziałeś? — spytał Griabow śmiejąc się do rozpuku — Macie, powiada, macie! Ach, ty pudło! Dla dzieci tylko trzymam tego trytona. Gdybym nie miał dzieci, nie dopuściłbym i na dziesięć wiorst do swego majątku... Nos jak u jastrzębia... A talia? To czupiradło przypomina mi długi gwóźdź. Wiesz, wziąłbym to i wbił do ziemi... Poczekaj... Zdaje się chwyta...

Griabow podskoczył i podniósł wędkę. Sznurek wyprężył się, Griabow szarpnął jeszcze i nie wyciągnął haczyka.

— Zaczepiła się! — rzekł i zmarszczył się — Widocznie o kamień... Do diabła...

Na twarzy Griabowa ukazał się wyraz cierpienia. Wzdychając, poruszając się niespokojnie i mrucząc przekleństwa, zaczął szarpać sznurek. Szarpanie do niczego nie doprowadziło. Griabow zblad...



Przykra historia! Trzeba wleźć do wody.

— Ależ daj spokój!

— Nie można... Pod wieczór dobrze chwyta. Ale to ci historia, mój Boże! Trzeba włazić do wody. Trzeba! A żebyś wiedział, jak mi się nie chce rozbierać! Ale Angielkę trzeba wypchać. Nie wypada się przy niej rozbierać. Bądź co bądź dama!

Griabow zrzucił kapelusz i krawat.

— Miss... e-e-e... — zwrócił się do Angielki — Miss Tłajs! Że wu pri... No, jak jej to powiedzieć? No, jak ci mam powiedzieć, żebyś zrozumiała? Słuchaj... tam! Niech pani idzie tam! Słyszysz?

Miss Tłajs oblała Griabowa pogardą i wydała dźwięk nosowy.

— Co? Pani nie rozumie? Mówię ci idź stąd! Muszę się rozebrać, słyszysz, czupiradło! Tam idź! Tam!

Griabow szarpnął miss za rękaw, pokazał jej krzaki i przysiadł: idź, mówię ci za krzaki i schowaj się tam. Angielka poruszyła energicznie brwiami i wypowiedziała prędko długie angielskie zdanie. Mężczyźni parsknęli śmiechem.

— Poraz pierwszy w ... jej głos słyszę... No, głosik sobie niczego! Nie rozumie? No cóż mam z nią robić?

— Pluń! Pójdziemy na wódkę!

— Nie można, teraz powinno się łowić... Wieczór... Ale co robić? T oci historia! Trzeba się będzie rozbierać przy niej...

Grabow zr...ił surdut i kamizelkę, siadł na piasku i zabrał się do zdejmowania butów.

— Słuchaj, Iwanie Kuzmiczu, — rzekł przewodniczący, śmiejąc się w kułak — to już, przyjacielu, szyderstwo, znęcanie się.

— Nikt jej nie prosi, żeby nie rozumiała! To będzie dla nich nauczka, dla tych cudzoziemców!

Griabow zdjął buty, spodnie, zrzucił z siebie bieliznę i stanął w stroju adamowym. Otcow złapał się za brzuch. Poczerwieniał ze śmiechu i wstydu. Angielka poruszyła brwiami i zamrugała oczyma... Po jej żółtej twarzy przemknął wyniosły, pogardliwy uśmiech.

— Trzeba ochłonąć — rzekł Griabow klepiąc się po biodrach — Powiedz mi, Teodorze Andrzejewiczu, dlaczego to zawsze w lecie miewam wysypkę na piersiach?

— Idźże prędzej do wody i przykryj się czymś! Bydlaku!

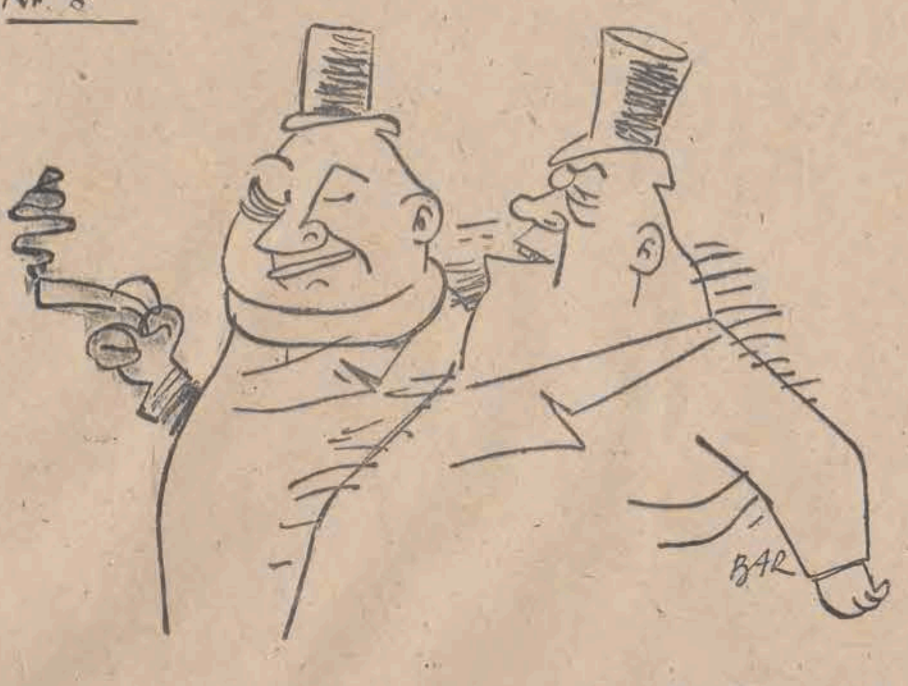
— I żeby się przynajmniej zawstydziła, podła! — rzekł Griabow włażąc do wody i żegnając się — Brr woda zimna... Spójrz, jak porusza brwiami! Nie odchodzi... Stoi ponad tłumem! He-he-he... I nie uważa nas za ludzi!

Wszedł do wody po kolana, wyciągnął się jak jak długi mruknął i powiedział:

— Dla niej, bratku, to nie Anglia!

Miss Tłajs zmieniła z zimną krwią robaczka, ziewnęła i zarzuciła wędkę. Otcow odwrócił się. Griabow odczepił haczyk, zanurzył się i sapiąc wylazł z wody. Po dwóch minutach siedział już na piasku i znowu łowił ryby.

Przełożył K. A. Jaworski



Rys. Karol Baraniecki

— Byłem zawsze zwolennikiem trójki...
— ?
— No, trzeciej wojny światowej!

IWAN FRANKO

O MIŁOŚCI

W Egipcie do Józefa rzekł
dworzanin, Faraonów człek:

„O panie, kocham cię aż strach,
przed twą mądrością padam w piach!"

A Józef wartość słów tych znał,
odpowiedź więc takową dał:

— Wspomnienia obudziłeś złe —
o bracie mój, nie kochaj mnie!

Mój rodzic kochał mnie i strzegł,
dlategom w wilczym dole legł,

dlategom też — na miły Bóg! —
kajdany niewolnicze włókł.

Żoneczka Potyfara dyć
nie mogła też beze mnie żyć;

za ten jej łask spóźniony kwiat,
w więzieniu gniłem siedem lat — —

Dlatego też zrozumieć chciej,
że lękam się miłości twej...

Tłum. Henryk Sawa

Odpowiedzi Redakcji

JÓZEF WIERUSZ (KŁADZKO). Pisze Pan między innymi (zachowujemy oryginalną pisownię): „przeciesz nie zrobi to ruźnicy ani tródności wydrukować takie dobre chumoreskie". Panu może to nie zrobi, ale nam — tak. I to nie tyle „tródność" ile „ruźnice".

I. GREK (WARSZAWA). Obawiamy się Greków. „Timeo Dadaos et dona ferentes". Po przeczytaniu utworu, którym nas Pan obdarzył, znajdujemy, że obawy nasze, w rzeczy samej, słuszne.

LODA X (ŁÓDŹ). Okoliczność, że attaché satyry polskiej, St. J. Lec, wymienił Panią wjednym ze swoich wierszy z imienia (Loda) i z nazwiska (X), nie upoważnia Pani jeszcze do odpłacania mu pięknym za nadobne. Tym bardziej, że to, co Pani nadesłała — wcale nie nadobne.

B. RUDNICKA (GDAŃSK). W związku z wzruszającym zakończeniem Pani wiersza:

„Bez pisania wierszy całkiem żyć nie mogę,
prędzej bym na ścianie zabiła stonogę,
co mam dalej czynić, rada nie zawadzi,
panie Redaktorze, niech mi pan poradzi —"

redaktor radzi aby Pani czemprędzej zabiła na ścianie stonogę. Po dokonaniu tego czynu okaże się z pewnością, że będzie Pani mogła jednak żyć (bez pisania wierszy).

MARIAN CHORAZEK (WROCŁAW). Ponieważ, jak nam skądinąd wiadomo, „jeszcze się ten nie urodził, co by wszystkim dogodził", prosimy się uzbroić w cierpliwość i czekać. Nie jest bynajmniej wykluczone, że się jeszcze urodzi.

„IKAR" (SZCZECIN). Mieszka Pan nad morzem i nazywa się Ikar. W tych warunkach, rzecz jasna, byłoby pożądane zaniechać wzlotów. Przynajmniej poetyckich.

MGR. FLORCZYK (KATOWICE). W oświadczeniu Pańskim: „mam charakter pisma trochę nieczytelny" dopatrujemy się przesadnej skromności. Raczej z mniejszą trudnością dało by się odczytać pismo klinowe lub hieroglify...

ZYGMUNT ROTNICKI (KRAKÓW). Proponuje Pan wydrukowanie cyklu „zagadek zoologicznych" w rodzaju: „co robi wąż, gdy go swędzi ogon?". Nie jesteśmy ciekawi. Przypuszczamy, że to samo, co i Pan w podobnym wypadku.

WOJCIECH G. (TOMASZÓW MAZ.), Piotr Nałęcz (Rzeszów), Adela Kowalska (Płock), S. Maliszewski (Lublin), Lern Z. (Kalisz), M. Geburtówna (Częstochowa), Al. Sau. (Sosnowiec), Wł. Mielnik (Bydgoszcz), Irena Vorel (Gdynia) — Nie skorzystamy.

Teatr Kultury i Sztuki

Wszelkie deklamacje o upowszechnianiu kultury i teatru dla mas pozostaną frazesami bez pokrycia, jeżeli tych haseł nie oprzemy o ofiarną działalność trafnie dobranych do tego szczytnego zadania osób.

Ministerstwo Kultury i Sztuki czyni wprawdzie nadludzkie wysiłki, by po miastach i miasteczkach zapalić kultury ogniska, lecz, jak do tychczas, echa tych usiłowań nie wykraczają ponad przeciętną normę. Albowiem brak ludzi, inaczej mówiąc rąk do pracy.

Zaszczytny jednak i wiarą w przyszłość napawający wyjątek stanowi o 15 km od Łodzi położone miasto Pabianice. Powiedzmy odrazu — szczęśliwe miasto. Tu kultura, można powiedzieć, aż bucha. Pabianiczanie (według danych na dzień 15 stycznia 1947 roku — 40.391 mieszkańców) mogą chłonąć kulturę pełną piersią i to w pierwszym rzędzie dzięki energicznie prowadzonej scenie, która niewiadomo dlaczego przybrała skromniutką nazwe „Teatr Kultury i Sztuki".

Komu Pabianice zawdzięczają dostateczny kontygent strawy duchowej? Nie tajmy dłużej! Tym, który Pabianiczanom dostarcza owego pokarmu to p. Kwiatkowski. Kierownik i reżyser „Teatru Kultury i Sztuki" — p. Kwiatkowski.

Jeszcze nie przebrzmiały echa cieszącej się ogromnym w Pabianicach powodzeniem trzyaktowej operetki „Baron Kimmel" (notatka prasowa wspomina tylko o kierownictwie artystycznym p. Kwiatkowskiego — natomiast niewiadomo nam bliżej kogo oklaskiwano w roli tytułowej) — a już mamy do zanotowania nowy sukces „Teatru Kultury i Sztuki". Oto następna notatka prasowa z szczęśliwych Pabianic:

„Dnia 25 i 26 stycznia r. b. na sali Domu Katolickiego (sic! — przypisek mój) odegrana została wesoła 3-aktowa komedia p. t. „Wabik — Maskota". Rolę tytułową zagrał p. Kwiatkowski, kierownik i reżyser „Teatru Kultury i Sztuki".

Boże Ty mój! Siedzi człowiek w tej zadymionej Łodzi, skazany na oglądanie oklepanych już „Krakowiaków i Górali" wysłuchuje w poważnym skupieniu „Homera i Orchidei" — a tuż za rogatkami, w bliskich Pabianicach, dzieją się tak cudne rzeczy. Nie mogę sobie darować, żem tego nie widział. „Wabik" pana Kwiatkowskiego stanowczo mnie pociąga. Notatka wprawdzie przemilcza, że p. Kwiatkowski grał doskonale, ale można sobie wyobrażać. Stanowczo p. Kwiatkowski powinien widowisko powtórzyć i zaprosić na przedstawienie całą intelektualną Łódź!

Bo o inną rzecz tu jeszcze chodzi. Repertuar! Dotąd, o ile mnie przegląd prasy nie myli, nie spotkałem wzmianki o wyżej wymienionej sztuce. Dyrektorzy teatrów z Schillerem na czele rozbijają się za egzemplarzami, szukają nowych arcydzieł, a tuż pod nosem mają brylant.

Powtarzam, widowiska nie oglądałem, lecz śmiem twierdzić, że „Wabik — Maskota" godna jest z pewnością pierwszych scen w Polsce, jako że została wystawiona w „Teatrze Kultury i Sztuki", uzyskując tym samym prawo obywatelstwa. Bo przecież w „Teatrze Kultury ii Sztuki" kiepskich sztuk chyba by nie wystawiano!

Gdyby ktoś odważył się wzruszać ramionami na niniejsze uwagi potrafię wywód mój poprzeć autorytetem. „Teatr Kultury i Szutuki" to nie jakaś tam impreza przypadkowa, na jeden raz, dla wyładowania lokalnych chuci artystyczny — to placówka stała, o ciągłej linii repertuarowej (Schiller powiedziałby ideowej), oddziałującej na rozwój duchowy 40.391 mieszkańców — to placówka, korzystająca z opieki Wydziału Kultury i Sztuki, który podlega Ministerstwu oczywiście Kultury i Sztuki. Zatem, wracając do Pabianic, tamtejszy „Teatr Kultury i Sztuki" razem z p. Kwiakowskim jest, logicznie biorąc, wykonawcą wytycznych (jakie niewątpliwie płyną z Centrali) względnie wyposażony jest w autonomie, co takoż (tak by się zdawało) za wiedzą czynników miarodajnych się dzieje.

Jakkolwiek jednak rzeczy się mają, rozwój kultury w Pabianicach jest zapewniony. Przynajmniej tak długo jak długo w Pabianicach mieszka pan Kwiatkowski.

KĄCIK BRIDGE'OWY

Rys. Alinka



„Dama pod impasem"



„Wpadka"



„Z dziadkiem"

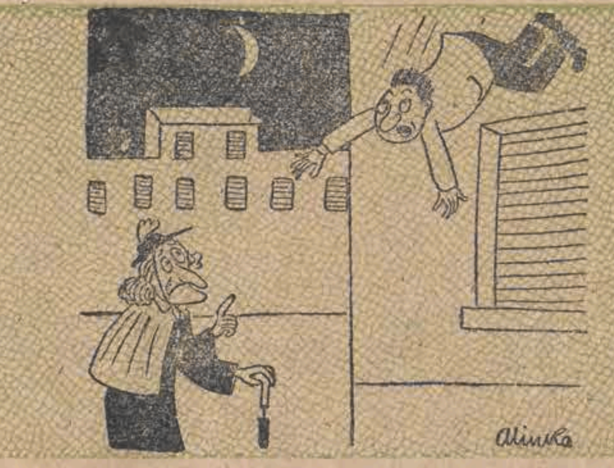


„Król się wyrobił"



Rys. Alinka

— Wspaniale! Od czasu jak się ożeniłem, ciągle przybywa mi na wadze!



Rys. Alinka

— Ach, ta dzisiejsza młodzież! O tej porze wychodzić z domu?!



Rys. Alinka

— Dlaczego zwolniłeś swą sekretarkę?
— Bo czytała wszystkie listy, które dawałem jej do przepisywania!

— Wiesz, Leon ma dopiero 25 lat, a czasem robi wrażenie, jakby żył już ze sto...

— Dlaczego?

— Posłuchaj go, jak opowiada dowcipy...

* * *

— Czy pan nie znajduje, że moja żona wspaniale śpiewa?

— Jak pan mówi, proszę?

— Powtarzam: ja mniemam, że pan jest również zdania, iż moja żona ma wspaniały głos — tak mi się przynajmniej zdaje...

— Przepraszam pana, może pan będzie łaskaw jeszcze powtórzyć — ale nie mogę rozróżnić ani jednego pańskiego słowa, dopóki ta osoba tam koło pianina wrzeszczy tak przeraźliwie...

* * *

John Kay, zamożny obywatel San Francisko, kupił sobie miejsce na grób na cmentarzu, ogląda je i rozmawia przy sposobności z grabarzem:

— Ma pan tu dolara na piwo — chciałbym, ażeby pan uważał, aby wszystko było w porządku, gdy mnie będą chować...

— O. naturalnie, może pan być spokojny, dla takiego gościa będę dbał o wszelkie wygody. Czy pan zwykle leży z głową wysoko, czy nisko?

* * *

Amerykański przedsiębiorca wchodzi do swojego magazynu przez tylne wejście i spostrzega chłopca, który stoi, oparwszy się o ścianę, nic nie robiąc i gwiżdże...

— Słuchajno, młodzieńcąze, ile ty zarabiasz?

— Dziesięć dolarów tygodniowo. panie....

— Masz tu dziesięć dolarów — i żeby cię tu więcej nie było!...

Przedsiębiorca idzie parę kroków dalej i pyta pierwszego spotkanego subiekta:

— Jak długo ten młodzieniec był u nas zatrudniony?

— Nie był zupełnie, panie szefie — przystanął tu tylko na chwilę, bo do nas coś przyniósł...

* * *

Jack Brown ma w Chicago mały handel spożywczy. Sklep ten prowadzi jego żona, podczas gdy główną specjalnością Jacka jest gangsterstwo. Pewnego razu ten główny zawód robi mu zawód: Jack wpada w ręce policji, sąd, wyrok śmierci...

W dniu wykonania wyroku na zamkniętych drzwiach jego sklepu przechodnie czytają kartkę:

„Dziś zamknięte z powodu egzekucji właściciela".

Sławni ludzie w anegdocie

Tristan Bernard miał na rachunku w Banque de France 60.000 franków. Obok banku znajdował się posterunek policyjny. Za każdym razem, kiedy pisarz przychodził odbierać pieniądze. cieszył się niezmiernie, że jego depozyt jest tak dobrze strzeżony. Przyszedł jednak dzień, kiedy podjął ostatni tysiąc franków. Pogrążony w zadumie opuszczał bank, a kiedy przechodził koło poserunku, poklepał po przyjacielsku policjanta i powiedział:

— Już nie jest pan potrzebny! Może pan iść do domu.

* * *

Bawiąc na Riwierze, Tristan Bernard zjadł pewnego razu śniadanie w jednej z pierwszorzędnych restauracji. Rachunek wypadł odpowiednio słono. Po uregulowaniu literat poprosił do siebie kierownika przedsiębiorstwa, a gdy ten się zjawił, zapytał go Tristan Bernard:

— Czy pan jest dyrektorem tego przedsiębiorstwa?

— Tak! Czym mogę służyć?

— Ale czy pan naprawdę nim jesteś?

— Ależ tak! — odpowiada ze zdziwieniem zagadnięty.

— W takim razie uściśnij mnie pan!

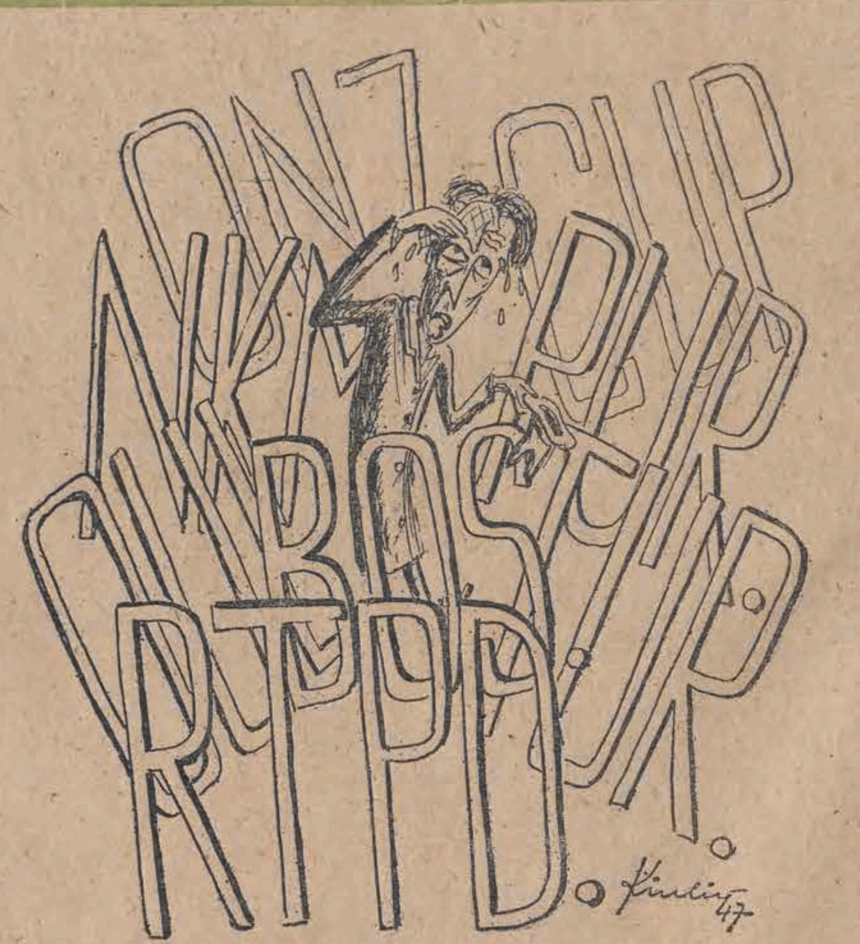
A gdy zaskoczony tą niespodziewaną propozycją kierownik zakładu gastronomicznego nie umiał w zakłopotaniu znaleźć słów, pisarz gładząc z powagą swoją kędzierzawą brodę, rzekł wreszcie z wyrzutem:

— Uściśnij mnie pan, bo już się wiecej nie zobaczymy nigdy.

* * *

Pewien finansista opowiadał Tristanowi Bernardowi o wspaniałych interesach, jakie robi. Dowcipny komediopisarz oświadczył, że ma dla niego jeszcze lepsze:

— Niech pan kupuje sumienia naszych współczesnych za to, co ne są warte, i sprzedaje je za tyle, na ile oni sami je oceniają.



Rys. Zbigniew Kiulin

— Mój Boże, jak ja stąd wyjdę bez przewodnika?

— Wie pan, w moim zawodzie człowiek nigdy nie wie, co następny dzień przyniesie...

— A cóż pan ma za zawód?

— Jestem meteorologiem.

* * *

Dwaj Yankesi rozmawiają na temat szybkości nowoczesnej fabrykacji aut.

— U nas w Detroit — mówi mr. Smith — rozpoczęto budowę auta. W niespełna pięć minut później było gotowe do użytku.

— Hahaha! — zaśmiał się serdecznie Mr. Jones — przecież to nic nadzwyczajnego... U nas w Chicago, niedawno rozpoczęto konstrukcję samochodu, a po pięciu minutach przywieziono już do szpitala pierwsze ofiary śmiertelnego przejechania!

* * *

— Panie Malowańczyk, powiedz mi pan — kto nosi pańskie czyste kołnierzyki?

— Co to znaczy kto — ja!

— No, to dlaczego masz pan ciągle brudny kołnierzyk?

— Brudny?! To nie brudny — to od szyi.

* * *

— Słyszałem, że się pan dał odmłodzić, wziął pan sobie gruczołek szympansa. co?

— Owszem...

— Haha, więc pan myśli, że nawet po dziesięciu szympansach może być z pana większa małpa, niż jest?...

* * *

Kuszpietowski jest u okulisty.

— No, i jak panu pomogły szkła, które panu przepisałem? — Czy w dalszym ciągu widzi pan te migające punkciki przed oczami?

— Tak, panie doktorze, ale dzięki tym szkłom widzę je o wiele wyraźniej.

* * *

— Ależ, proszę pani, to nie jest jeszcze powód do rozwodu to, że pani zauważyła, iż służąca nosi pani bieliznę...

— Tak, panie mecenasie, ale na to zwrócił uwagę mój mąż!

* * *

Rzecz dzieje się w amerykańskiej restauracji.

On: — Kocham cię, Glorio... czy ty mnie kochasz?

Ona: — Tak, kocham cię, Jim.

On: — Kelner prędko — pastor na dwie osoby!

* * *

Poeta: — Małżeństwo jest szczęściem spokojnego portu, w którym spotkały się dwa okręty...

Mąż: — Tylko szkoda, że ja się spotkałem z okrętem wojennym...

Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański i Henryk Tomaszewski. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212 57.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. D 012392 Wydaje: „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.